

# Kazimierz Wyka

---

## Pieśń i dzieje

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (30), 145-154

---

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Świadectwa

*Kazimierz Wyka*

## **Pieśń i dzieje\***

*Tymczasem dzieci o rannej godzinie  
Gdzieś do szkół idą,  
Oracz wywleka pług, i Wisła płynie,  
I Warta z Nidą.*

Pierwszego września 1939 r. dzieci polskie nie poszły do szkół. O rannej godzinie, o świcie, do twardej i długiej nauki wzięła historia cały naród polski. W dni niewiele krwią spłynęły wszystkie rzeki polskie. Przetoczyła się burza i trwa wciąż. Pod innym, bardziej ponurym niebem, bez patosu tamtych dni wrześniowych, o krok od pospolitości, nędzy, głodu, o krok od prostackiej niezmienności instynktów trwały nad nami dzieje przez tyle lat. Wąskim płomykiem, bezgłośnym jak mżenie letniej błyskawicy, przewija się wśród nich pieśń. I pyta, co w tych latach straszliwych doświadczeń jest cenne, co już teraz jest widoczne jako zaród przyszłych budowli.

Zamknęły się za nami lata wojny. Zdaje się, że zasadniczy zrąb doświadczeń tych lat jest już gotów. Wobec wypadków i wobec reakcji własnych posiadamy już dystans, daleki zarówno od gorączkowego niepokoju, jak optymistycznej historii. Dlatego, chociaż oblicze przyszłości ciągle jest ciemne, choć nie wiemy, jak będzie wyglądać Europa po tryumfie nad złymi mocami, pora spojrzeć za siebie. Na to, co jest ważne w przeżyciach i naukach tego czasu, jedynie na kalendarzu astronomicznym znaczącego lat kilka. Na kalendarzu dziejów, któż powieździe umie kształt i los ilu pokoleń mieszczą w sobie te lata?

---

\* Szkic ten — dotąd nie drukowany — publikujemy z papierów pośmiertnych Kazimierza Wyki. Autor pozostawił go w teczce zatytułowanej „Publicystyka okupacyjna niedrukowana” — zawierającej zapisy pierwszych pomysłów do *Życia na niby*, a także rozmaite fragmenty w książce tej nie wyzyskane. Początkowe akapity tego tekstu oraz jego zamknięcie były — z niewielkimi zmianami — wyzyskane w szkicu *O świcie* otwierającym *Życie na niby* (red.).

Zaczęło się w porannej mgłę pierwszego ranka wrześniowego. Skończyło się w słoneczny dzień października dumną defiladą Hitlera wśród świeżych ruin stolicy. Żadna z kampanii tej wojny nie posiadała tak epicznych i tak tragicznych ram. Od nadziei i słuszności, zmiażdżonych przez siłę za jej pierwszym krokiem, po zhańbienie i poniżenie pokonanego równe temu, kiedy, niczym w *Iliadzie*, trupa zwycięzca włókł za swoim rydwanem. Cała pierwotność i okrucieństwo historii, jej obojętność na prawdy i prawa, które nie zdołały dla siebie wytworzyć siły, wytoczyła się na ziemię naszą pomiędzy tym dniem pierwszym a ostatnim. I pieśń po wszystkie czasy narodu polskiego mieć będzie w tych niewielu tygodniach wrześniowych hojną żyłę tragizmu, wielkości i ofiary. Nie dotarła jeszcze do tej żyły dzisiaj i minie zapewne wiele czasu, zanim jej pełny rozmiar zdoła ogarnąć.

Od razu na początku doświadczeń wojennych napotykamy tą zasadniczą rozbieżność możliwości zawartych w tym, cośmy przeżyli, a wyrazu, jaki jest im w stanie dać natychmiast piśmiennictwo. Ta rozbieżność musi być punktem wyjścia dla wszystkich rozważań nad tym, co niosą dzieje, a co jest z nich w możliwości wcielić od razu pieśń. Nie dokonuje się ta rozbieżność dlatego, by nasze przeżycia ówczesne zbladły. Przeciwnie. Bieg wojny, który podobną klęskę, tak samo się odbywającą, przyniósł tylu narodom, właśnie oczyścił, jakby do surowych, prostych zarysów tragicznych sprowadził polski wrzesień. Świadomość, że inni nie uniknęli tego samego nieszczęścia, strąciła z ówczesnych przeżyć pewien osad zawstydzenia i skrzepowania, jaki był na nich zrazu. Czuliśmy tragiczność i bolesność przeżytego wówczas, lecz pomniejszała je myśl, że jedynie nasza słabość i zbytne zadufanie w sobie sprowadziły ten okrutny przeskok od nadziei po akty rozpaczliwej i romantycznej determinacji. Zrazu mogło się zdawać, że inni nie będą musieli stolic swoich poświęcać, by odpowiedzieć wymaganiom tych lat. Odpadło to rychło. Okazało się, że tylko ci pozostaną jako sprawcy czynni rozgrywających się dziejów, którzy nie cofnęli się przed najwyższą ofiarą. Po raz pierwszy polska determinacja i romantyczna ślepotą ofiary stały się prawem kontynentu, bez którego pochłonęłyby go siły zła i przemocy.

I dlatego, chociaż wiemy i nie zapomnimy, w jak pospolicie ludzkich, niegodnych nieraz wymiarach odbywały się dni września, posiadają one dla nas czystość moralną. Tak, nie są kłamstwem karawany samochodów uwożące wszystko, po pieska i kryształą pani ministrowej, wiemy, że skreślamy w pamięci, ale nie wystarczy nie być kłamstwem, by stawać się od razu prawdą zupełną i wartością. Prawdy września były inne i dostatecznie liczne, że nie lekamy się małości i lichoty u ich boku. Co bowiem zdawało się nam polskim, szaleńczym i nieobliczalnym majątkiem, okazało się regułą.

Oczyszczone, nie zapomniane. Pamiętać będziemy, nie bójmy się patosu — po godzinę śmierci. Pamiętać będziemy pierwsze myśli świadome, które nie w mózgach zdawały się rodzić, lecz w gardłach zaciśniętych i bezsilnych. Obrazy najczęstsze, drogi przebyte. Wspominając, powrócimy do nich. Powrócimy do tych niesamowicie trwałych pogód września, rozpiętych nad płaszczyznami Polski różańcem upalnych dni i nocy przesyconych od gwiazd. Ziemia nasza była jedną wielką mapą, rozwijaną pędem bombowców, nie zaciemnioną żadną plamą cienia. Jak wierne i przerażone zwierciadło przyjmowała w siebie cienie przelatujących eskadr i nie myliła ich z obłokami. Drogami wlokły się kłębowiska kurzawy, nie ściekające ku ziemi, podniecane nowym milionem stóp. O przedrannej godzinie wstawały mgły i rozcieńczały majakiem martwiejący na ostatniej kwadrze księżyc. Bagna nadrzeczne spękane i pobrużdżone w skorupiste wieloboki nie wciągały stóp. Zapóźnione dywizje Wisłę przechodziły w bród.

I wtedy ponad przeżycie ludzkie ogarniętych trwogą wybijało się odwieczne dło pokoleń: ziemia. Jej smutna wierność, smutna niepoprawność. Z kart geografii zbiegały mądre uładzone zdania o kraju przejściowym, otwartym, o procencie granicy niebezpiecznej, o oporze, który na tej ziemi zdolny jest postawić tylko człowiek, bo nie postawi go przyroda. Natura z tej ziemi płaskiej i bezbronnej usunęła wszystko, co mogłoby bodaj opóźnić pochód żelaznych kohort. Ludzie niewiele przydali tej ziemi siły i oto obnażyła się przed nami jej okrutna w swojej bezbronności istota.

Dlatego żelazny i błyskawiczny pochód niemiecki wydawał się jakoś znajomy. Gdy w noc ucieczki płonęły nieznanne wsie, gdy dniem i nocą i znów nocą i dniem, w powłoce kurzu i mgieł, w chrzęście i niskim, drażniącym huczeniu sunął głównymi szlakami najeżdźca, przytłumione wyobrażenia, poczęte z pamięci czasów i zniszczenia dawnych, powstawały w duszy. Tak musiało wyglądać najście Krzyżaków. Z takim wilczym pośpiechem, byle naprzód, byle najdalej przez puszcze średniowieczne musiały się przerzynać zagony Tatarów. Pancerni i biały krzyż na czołgach były krzyżackie, pośpiech i niepokój łupieżców tatarski. Było to znów starcie płowowłosego Słowianina, zbrojnego w maczugę, procę i oszczep ledwo okuty z rycerzem w zbroi. Karabin szedł na czołg, maczuga na miecz obosieczny. Ta różnica krzyżacka zwyciężała teraz jak przed wiekami. I stąd ta klęska i wojna, do żadnej niepodobna, była tak polska i chciałoby się rzec — zgodna z historią polskich klęsk. Wystarczyło sięgnąć w przeszłość, by nie czuć się obco w jej obliczu.

Lecz oprócz sprawy czysto polskiej i sprawy sąsiedzkiej z naszym wrogiem zadawnionym przeczuwało się już wówczas inny, głębszy wymiar rzeczy. Napięcie zła nie miało podobieństw, było czymś absolutnie nowym. Ziemię naszą nieprzeliczonymi wstęgami opasał

szatan. Na wzruszających i naiwnych feretronach, na wiejskich ołtarzach ze św. Jerzym, św. Michałem czy Panną Najświętszą, bosą stopą kruszącą głowę smoka, przedstawiają go jako zmią potworne-go, odzianego w łuski, w skręty pancerne. Na dawnych obrazach jest on dziwotworem, rogatym w płyty jak skorpion, rozgałęzionym jak polip o mackach skamieniałych w twardzizny. Gdziekolwiek po jego przejściu przemierzyłeś w dni września nasz kraj, w długich smugach po ścierniskach, po podorywkach, znaczyły się ślady czółgowych gąsienic, skrętów pancernych. Szatan zbrojny w żelazo położył swoją liczną pieczęć na twarzy ojczyzny naszej. Minęły miesiące, położył na licu wczorajszych zwycięzców, minęło miesiące więcej, pozaczył diabelskim ściegiem całą Europę. I to, co wydawało się zrazu polską sprawą i klęską, stało się doświadczeniem kontynentu. Przed pieśnią zaś wzniosło się podwójne zadanie: wyrozumieć to, co polskie, a to, co powszechne — tak samo tragiczne i tak samo epiczne. Rozdzielić, co niepodobne, dotrzeć do sedna wspólnego doświadczenia narodów Europy.

Czy podoła mu pieśń? Czy wiele to razy na skrętach historycznych Europy stawało przed nią tak porywające i arcytrudne zadanie? Myślę, że nie podoła od razu, że nie należy się co do tego ludzi i że zaczynać należy od skromności w ocenie tego, co świadkowie epickości są w stanie dać sami. Stało się tak, jakby lodowiec przyniósł i osadził głazy narzutowe, a teraz strumyki miały je ponieść dalej. Piszac o tej rozbieżności dziejów i pieśni, na myśli mam tę pieśni formę, jaka jest dzisiaj najczęstsza. Powieść. Myślę, jak bardzo ta triumfująca już od wieku forma literacka jest niedostateczna, by dać kształt najgłówniejszym przeżyciom lat wojennych. Są te przeżycia i tragiczne, i epiczne. Ich wymiar tragiczny czujemy bezpośrednio, dane nam było nieraz ujrzeć najbardziej niewątpliwe świadectwem tragizmu. Wymiar epicki dopiero przewidujemy i spodziewamy się, że stanie się on oceną lat wojennych, kiedy wieszczony za jej działaniem przełom i odbudowa okażą się czymś rzeczywistym, a nie podobnym złudzeniem, jak nadzieje żywione po pierwszej wojnie światowej.

Dla wyrazu tragiczności i epickości literatura do czasów romantyzmu posiadała sposobne formy. Polski romantyzm wydał ostatnią epopeję świata. Romantyzm ogólnoeuropejski wydał kilka tragedii. I odtąd nastąpiło jedynowładztwo powieści, która wzięła na siebie obowiązki i możliwości wszelakich w ogóle form literackich. Nie pora tutaj rozpatrywać, dlaczego tak się stało. Czas jedynie rzec, że splątał się przez to węzeł, którego rozwiązanie, przywrócenie innych form ich praw i zadań jest pierwszym zadaniem przyszłości. Nie mamy dzisiaj tragiczków i tragedii, nie widzimy żadnych zakładów eposu. Najważniejsze prądy przeżyć tych lat wsiąkają przeto w piasek, pozbawione jasnego odpływu. Lub też samowolnie prag-

nie je zabrać w siebie powieść. W układzie form i możliwości literackich, jakie od przeżywanego przez nas wstrząsu nie ulegną żadnej natychmiastowej, radykalnej zmianie, nie widzę przeto perspektywy ujęcia przez pieśń zasobu przeżyć tego czasu, które by im dorównywało. Jestem przekonany, że do końca życia naszego napotykać będziemy jedynie próby i zbliżenia, a nigdy wyraz pełny. Piszę przeto, by już teraz wobec tej wszechwładzy powieści propagować postawę wymagań i niezadowolenia. Trzeba, byśmy dziedzictwo tych przeżyć, ich wymiar wzniosły i górny, przechowali w sobie żywotne i działające, by to dziedzictwo drażyło swoim niepokojem i wymaganiami formy, jakie już są formami rutynicznymi. Kiedyś zapewne, nie chciejmy tego już za naszego życia, te formy padną od wewnątrz. Wtedy zaś podziemne i w naszym niezadowoleniu, w naszym braku przyzwolenia na łatwość przechowane źródła wytrysną prawdziwym chrztem tych dni: chrztem tragicznym i epickim.

W tej wreszcie rozbieżności między tzw. życiem, a właściwie systemem żądań estetyczno-moralnych, wywołanych specjalnymi przeżyciami czasu, w tej to rozbieżności pomiędzy przeżyciem a piśmienictwem tkwi zaród podejrzliwości, jaką powinien budzić realizm, kiedy on będzie sięgał w lata dziejów. Wiem wszystko, co na obronę realizmu można powiedzieć, zwłaszcza w Polsce, gdzie pełnego realizmu było tak mizernie mało, i zastrzegam sobie prawo szerszego powrócenia do tego tematu. Pozwolę sobie tutaj jedynie zauważyć, że pełny realizm jest zjawiskiem równie samorodnym i rzadkim, co poetyckość prawdziwa czy tragizm. Nie o to więc chodzi, by powiadać, że realizm nigdy nie dał rzeczy wielkich w literaturze, jedynie o to, że nie ma stanowiska artystycznego, gdzie łatwiejsza byłaby mistyfikacja, jak stanowisko realizmu. Maskę realizmu najłatwiej jest przybierać mydłkom i najchętniej ją przybierają tam, gdzie sam temat niespodziewany przy skromnej dozie umiejętności podpatrywania, jaka najczęściej a najniesłuszniej za realizm uchodzi, pozwala własną zasługą artystyczną mistyfikować zasługą samego materiału. Więc, raz jeszcze, nie w tym sprawa, by realizmowi całkowicie odmawiać praw artystycznych, zwłaszcza wobec czasów, gdzie tak się krzyżuje pospolitość i codzienność z wzniosłością, lecz w tym sprawa, by się nie zabłąkać w dymnych zasłonach quasi-realizmu, w istocie zaś wykręcania się od tragicznej i epickiej wizji czasu.

Czyżby więc pieśń zupełnie była niezdolną odpowiedzią czasom? Bynajmniej. Najpierw jednakże pewne ogniwo myśli, które tutaj mogę podać tylko bez dowodów. Zgodzimy się na to, że lata powojenne będą przede wszystkim latami odbudowy i rekonstrukcji. Nie spodziewamy się ratunku w ekstrawagancjach, w pospiesznych ideach i niby-prądach, których takie błahe zatrzęsienie przyniosła

pierwsza faza międzywojennego dwudziestolecia. Ta odbudowa będzie musiała mieć plan. Widzę jedynie plan chrześcijański i klasyczny. Przez klasycyzm nie rozumiem jeszcze nawrotu do kultury antycznej. Z takiego nawrotu nie wycisnęlibyśmy lekarstwa na choroby tej epoki. Klasycyzm widzę inny: położony nie jako źródło genetyczne, lecz jako zadanie i temat pracy, która dopiero musi być wykuta w przyszłości. Klasycyzm jako podsumowanie zdobyczy nauki i mądrości zeszłego wieku, wieku wspaniałej twórczości, wieku, którego praca starczy wraz z pracą naszą na całe stulecie najbliższe, tych zdobyczy, wśród których my się płaczymy i targamy, nie umiając ich zhierarchizować i uładzić. Klasycyzm jako nową hierarchię, nowy ład uniwersalny, który po chrześcijańsku nakreśli metafizyczne miejsce człowieka, w swobodzie nakreśli pole działań humanistycznych i artystycznych, klasycyzm, który z różnorodności nacjonalistycznej, z historycznych i tragicznych fundamentów naszej natury zbiorowej spróbuje zbudować porządek świata. Wiem, że za krótko. Przez lat dziesiątki będziemy mówić o tym, bowiem jest o co walczyć.

W tym klasycyzmie jako zadaniu i dążeniu kął literacki. Znów bez dowodów, znowu krótko. Istotą klasycyzmu jest norma i prawo. Norma wewnętrzna szczególnych działań rzeczywistości, system klasyczny porządkującym stosunkiem tych norm. W piśmiennictwie norma utajona form, ich bogactwo, walka z tymi, które bezprawnie wciskają się na ziemię, jakich nie są w stanie opanować, wzajemny stosunek i uzupełnienie się form o jasno wykreślonych celach. Chodzi o to, ażeby na długim, powolnym planie choć częściowo usunąć złe skutki romantycznej i poromantycznej rewolucji antyformalnej ciągnące się po dzisiaj. Takim intruzem jest przede wszystkim powieść — dajmy już jej spokój. Chodzi o to, że w tym klasycyzmie literackim, widzącym normę jako zadanie, można odnaleźć wskazówki już teraz, jak przez czystość formy pieśń odpowie dziejom.

Myślę, że ta odpowiedniość odbędzie się za pośrednictwem trzech form: liryka, opowiadanie, reportaż. Myślę, że tymi drogami część dziedzictwa przeżyć znajdzie ujście. Zaczniemy od reportażu. Nazwa nie jest szczęśliwa, trudno, nie mamy lepszej. Pisząc reportaż, myślę jednocześnie pamiętnik, dziennik wojenny, gorące świadectwo przeżyć. Dobry reportaż, a takiego nie brakowało w Polsce, już przed wojną obejmował funkcje prawdziwego, na gorąco kutego realizmu, jakim nie była w możliwości podołać powieść. Przejmował dlatego i przejmie wobec przeżyć wojennych z taką samą zapewne skutecznością, ponieważ tutaj realizm nie jest pozorem, nie jest jedną z kulis i fikcji powieściowych, osłaniających niewiadome jądro, lecz materiałem, na którym natychmiast sprawdzeniu podlega spostrzegawczość i osobowość piszącego. Tak, osobowość. Dobry

reportaż wymaga pełniejszej osobowości i występuje w nim ona bliżej powierzchni rzeczy, uchwytniejsza dla czytelnika, sprawdzalna i surowo obnażalna, aniżeli pośród powikłań powieści. Reportaż prawdziwy jest zjawiskiem uczciwszym artystycznie w tym prostym obcowaniu piszącego i czytającego poprzez rzeczywistość. Dlatego nie mniejszymi od Uniłowskiego i Rembeka, a rzecz znamienna, o ile więcej czytowanymi realistami lat przedwojennych są Fiedler i Pruszyński. Dlatego źle życząc powieści z lat wojny, dobrze życzę świadectwu autentycznemu.

Piszcie pamiętniki, gdyście mieli godne tego przeżycia, gdy Opatrzność wywiodła was z męki, z zesłania, z obozów, kiedy krokiem polskiego żołnierza przemierzylście dalekie łądy, bierzcie fakty surowe, ogłaszajcie swoje dzienniki wojenne, bez sztuczek, bez okrażeń. Mówmy z sobą: będziemy widzieć, ile ujrzeliście rzeczywistości tych lat i jak obcować można z wami wprost, w prawdzie wspólnych przeżyć i obrazów. Resztę prawdy realnej zdajcie na przyszłość. Przepłynięcie przez was ludzkim i prostym sposobem jedna struga z tej niezmierności przeżyć i działań, a ci, którym ta struga naprawdę przepłynęła przez serca, pozostaną w pamięci. Może kiedyś nieznany nam wielki pisarz, odtwórca tych dni, wcieli relację waszą w *Popioły* tych lat i przez prawdę swoją przetrwacie w pięknie, które kiedyś spłynie na nasze nędze.

Opowiadanie. Należy się spodziewać powojennego rozkwitu tej formy, albowiem jej prawa formalne doskonale opowiadają jedynym dostępnym nam możliwościom wyrazu dla przeżyć, które zbyt są ważne, by trwały jedynie przytłumione, jako postulat czy zapis reportażowy. Przede wszystkim forma opowiadania swoją krótkością automatycznie niejako usuwa trudny problem realizmu oraz kłócający się z powszechnością i masowością naszych przeżyć, zawsze egotyczny moment analizy psychologicznej. Opowiadanie nie jest obowiązane do spełniania wymagań realistycznych, jakie podważają powieść. Sama jego zwartość prowokuje dramatyczność, spieszność zdarzeń, a tą drogą element tragizmu, tak istotny w przejściach wojny i okupacji, wdziera się i panuje nad opowiadaniem. Opowiadanie jest przeto jak krótki błysk, jak błyskawica nocna, która nagle i jaskrawo rozświetla krajobraz, daje mu ton niezwykły i dramatyczny. Nie ma pretensji wyczerpywać, pragnie tylko dobitnie wskazać. Jest jak zanurzona w ranę sonda. Jeszcze nie leczy, lecz już głębokość rany stwierdza. Te zaś wszystkie składniki — nieobecność realizmu podpatrującego, antypsychologizm, nieważkość przeżyć, jeśli nie stały się w nas godne ofiary lub wielkości, dramatyczność i tragizm są tak powszechnie obecne w zapamiętanym z lat wojny, że nic dziwnego, iż forma doskonale się układająca wokół tych samych ośrodków głównych wydaje się być na razie jedyną formą prozy, nie kłamiącą temu, cośmy przeżyli. Te



same wreszcie przyczyny tłumaczą retrospektywnie, dlaczego z bezpośredniego dorobku po pierwszej wojnie światowej największej wartości zachowały po dziś dzień właśnie opowiadania wojenne Goetla i Małaczewskiego. Tak zgodność formy z treścią dziejów sprawia, że dana forma owocuje pierwsza.

Liryka. Nie będziemy jej przepowiadać, co ma czynić i dlaczego czyni dobrze. Ta wiara, wyczulona towarzyszka drgnień tajemnych, w których dojrzewają zdarzenia, pełni swoje tak, że jedynym wobec niej uczuciem jest zaufanie. W przeczuciach dojrzewają zdarzenia. Liryka nasza nie myliła się przed wojną, nie myli się dzisiaj. Jeden tylko dowód: sprawa tzw. katastrofizmu. Pamiętamy, jak rozlewne było łożysko katastroficznych i profetycznych przeczuć w latach przedwojennych — zostanie po nim martwe i wyschłe dno, pozostaną jednak również zatoki poezji zawsze żywej. Ten kierunek poetyckiego przeczucia był słuszniejszy od wszystkiego, co niosło życie duchowe tamtych lat. I jakżeż to łożysko zniknęło z pierwszym dniem katastrofy prawdziwej, z jakąż nadczuła i słuszną skwapliwością liryka wiernie przypadła do ziemi, wczuliła w nią ucho i od pierwszych dni pod hucznym krokiem najeżdźcy wysłuchała daleki, ukryty puls nadziei, rytm tajemny tej ziemi deptanej, lecz nie zdeptanej, ciche szeptanie czasu przyszłego, który będzie inny, aniżeli wskazują pozory rzeczywistości. Spokojny i ufny ton, tak w tęsknocie za przeszłością, jak w wyteżeniu ku przyszłości.

Wierność tej pieśni czasu jest jeszcze głębsza. Liryka to wyraz dla spraw najbardziej własnych, aż egotycznych, aż ukrytych w podświadomości czy instynkcie. Między postawą liryczną a tragiczną czy epicką jest cały wawóz subiektywizmu, który musi być zasypany, by w czasach usuwających egotyzm i subiektywizm liryka posiadała swoje słowo. I tę rozbieżność liryka zdołała w wielu utworach wyrównać. Najlepsze wiersze lat wojennych nie są jak pieśni na głos solowy, chociaż taki rodzaj najbardziej jest lirykowi przyzwolony, lecz jak daleki odzew jednymi podjęty usty, lecz po to, by wezwać chór, by usłyszeć powszechność śpiewającą. Ta liryka towarzyszy, akompaniuje naszym przeżyciom i w tym jest wyzwolona od subiektywizmu, ale ponieważ te przeżycia są własnością ogólną, każdego obowiązującą, akompaniament może się stawać sprawą własną i głęboko indywidualną.

Akompaniuje, lecz nie zawsze powtarza przeżycia same. Chodzi o tę rozbieżność pomiędzy czołowymi utworami lirycznymi czasu okupacji a przeważnym charakterem tych przeżyć, jaka już czasu wojny stawała się nieraz przedmiotem wyrzutu, a i teraz na pewno stawać się nim też będzie. Ten charakter jest bowiem patriotyczny i narodowy, trudno, by stawał się inny wobec masowości i cierpienia, i ponizienia specjalnie do nas stosowanych. Z natury rzeczy kroczy przeto wraz z nimi żądanie wobec poezji, ażeby przede wszyst-

kim powszechna tematyka patriotyczna barwiła jej wyraz. Tymczasem wiele liryki wojennej, jeśli o czas pochodzenia chodzi, posiada wprawdzie ten wyraz, ale nader rzadko są to utwory o trwalszej wartości poetyckiej, natomiast utwory niewątpliwie odkrywocze artystycznie przeważnie nie stosują się do tej normy zbiorowej. Sytuacja jest trudna i bardzo ją będzie łatwo przecinać szumnym argumentem, że widocznie poeci nie dorośli do przeżywanych czasów. Myślę tymczasem, że w pozornym poniechaniu tematyki najoczywściej się narzucającej nie jest bynajmniej jej lekceważenie, ale problem znacznie subtelniejszy. Oto wszyscy zdajemy sobie sprawę, że w ramach cierpień i przeżyć pozornie tylko dotyczących naszego losu narodowego dojrzewają i spełniają się sprawy znacznie szersze aniżeli kwestia istnienia tego czy owego narodu, chociażby był nam najbliższy, jedyny, w jakim tworzyć i żyć możemy. Nie powiadam przez to, ażeby to zrozumienie mogło być nam dostępne inaczej, niż przez los własny, twierdzę jednakże, że choć dokonywane na losie naszym dotyczy w ogóle porządku moralnego ludzkości, praw, których człowiekowi łamać nie wolno pod groźbą zbydłęcia, obowiązków, jakich porzucać nie wolno nawet w imię ratowania bytu własnej zbiorowości.

Krótko mówiąc, rama przeżyć naszych jest patriotyczna i nie ujrzy jej artysta przez inne tworzywo, jak wrzesień polski i okupacja niemiecka, jednak trzon zawarty w ramie doznań wybiega ponad spór dwóch narodów.

I tutaj nawiązanie do tego mniej dostępnego wyglądu liryki lat wojennych, tego wyglądu, który właśnie pragnie poprzez dzieje własne zrozumieć sens historii, poprzez cierpienie narodu wartości cierpień minionych czasów. Nie ma w takiej postawie lekceważenia, jest jedynie chęć poszerzenia zdobytego sensu rzeczy. Powieździeliśmy, że w przeczuciach dojrzewają zdarzenia. Jak w słusznych przeczuciach liryki przedwojennej dojrzała katastrofa, oby podobnie w tych przeczuciach nowych i ufnych dojrzały czasy, jakich czekamy, czasy człowieka wolnego od obłędu i pychy masowej.

Te są trzy zbieżności główne pomiędzy pieśnią a dziejami. Nie stawaliśmy się skrywać trudności, jakie się w nich mieszczą. Literatura podjąć bowiem może każde zadanie, byle uświadomić sobie, jakim jej normom autonomicznym odpowiada nowy obowiązek. Trudności wyłaniające się tutaj są jedynie świadectwem autonomii dziedzin humanistycznych, autonomii po równi sztuki co myśli, podejmujących zadania czasu, lecz nie poddających się niewolniczo im tylko i niczemu więcej. Tej autonomii nie przekreślamy na rzecz konieczności bezpośrednich, lecz jedynie wskazujemy, jak można się z nim pogodzić. Dlatego radością jest każdy dobry wiersz, w którym nie ma ani słowa o wojnie, o pesymizmie, jedynie miłość jest świeża i noc wonieje rytmicznie. Cieszę się, jeśli jesteś go

zdolny napisać dzisiaj, nieznany mi młody poeto, i pragnę, byś się nie wstydził prostoty swoich uczuć. Radością swobodną jest twój obraz młodzieńczy, w którym nie masz na skraju ładu mogiły żołnierskiej, choć ją tam widziałeś, jest sam łąn. Pominąłeś ją, by cię nie posądzono o sentymentalne efekciarstwo. Lecz pamiętaj, że za to musisz zapłacić: twój obraz nie śmie być przeciętny. Przeciętność nie daje ci do tego prawa. Radością jest twoja fraza, wysłuchana poza wszystkim, co dzieje się realnie. Witam was wszystkich, witam humor i miłość, wszystko, co wieczne i rzadkie.

Piszę w takie same ostatnie dni sierpnia, jak tamte dni ostatnie. Kiedy od tygodni żar spóźnionej, obojętnie pięknej pogody przepłata puste pola, pyli upalną mgłą i kurzem linie lasów i dróg, kiedy nastają noce wczesne i chłodniejące, oko mimo woli szuka dalekich łąn, ucho czeka stłumionego pomruku dział. Drogi są puste, mogiły zapadłe. Biegają dzieci tych, co polegli i nie ujrzeli maleństw. Czas się przetoczył i jest ten sam, bolesnym uciskiem wspomnień chwytający za gardło w te dni podobne. O zmroku słyszysz głosy ludzi prostych: całkiem tak samo, jak wówczas, kiedyśmy uciekali. Ziemia rany zasklepia, ziemia tych ran zwyczajna i ściele się w smugach popielatych, już nie radosna wiosną, jeszcze nie rozplakana bogactwem jesiennym, ziemia późnego lata. Wierna i niezmienna, matka wszystkich przywiązań i ofiar, śpiewana i wciąż śpiewu głodna, ziemia, która pierwsza ujrziała i spłaciła dług czasom ofiar i walki.

I chociaż pamiętam jej radość, gdy była spokojna, w te dni nie można się czuć inaczej. Ziemia, wierność, piękno. Te trzy są siostrzyce, dla których obecności te lata ponure nie są latami beznamiętnymi. O wierności piękna już słowo napisałem. Wierność ziemi, wierność jej ludziom zwykłym, ta nosicielka ustawicznego bohaterstwa jest ponad pięknem. Pieśń, która jej dorówna, ponad siebie sięga. Sięga w samo dno dziejów tej ziemi i jeżeli nie wszystko z tych dziejów wydaje się nam już teraz dostępne pieśni, to dlatego, by nie marnotrawić wielkości. Niech trwa w wspomnieniu i odczuciu naszym, a dorówna jej pieśń.

26—27 sierpnia 1942 r.